ROZMAITOŚCI.

Dnia 13 września, Nr. 37. roku 1845.

Niewolnica baszy.

Roku 1841, w połowie miesiąca lipca, w paszaliku Sivas, w obszernym ogrodzie nad rzeką czerwoną położonym, przechodziła się młoda dziewica w tureckim stroju, powoli, zadumana, w towarzystwie staréj murzynki. Od czasu do czasu wstrząsała niechętnie głową, a dostrzegając niekiedy narożnika wielkiego budynku z wyzłacanémi kratami i balkonami, rumieniła się nagle, tupała małą nóżką o ziemię, pierś jéj wzdymała się gwałtownie, i bolesne westchnienie konało wpółprzytłumione na ustach.

Po niedługiéj przechadzce zatrzymała się Baila, i skinęła palcem na upodobane miejsce spoczynku. Murzynka poskoczyła natychmiast do kiosku, wyniosła tygrysią skórę i rozłożywszy ją pod drzewem, ustąpiła opodal.

Tymczasem młoda Turczynka, osłoniona czarnym welonem, usiadła sposobem tureckim na rozścielonéj skórze, wsparła się prawą ręką, a w lewéj trzymała na lekkiéj złotéj, misternie urobionéj miseczce małą filiżankę z porcelany chińskiéj, którą stara niewolnica na jéj żądanie kawą napełniała.

Baila miała lat siedmnaście; jéj czarno połyskujące włosy roztaczały się po ramionach, jak dwa krucze skrzydła; jéj miękkie i delikatne brwi tworzyły łuk przecudny, a chociaż tegoż samego koloru co i włosy, były podobnież jak jéj długie rzęsy i brzegi powiek, okryte czarném piększydłem *surmach*, gdyż mimo szczodrze udzielonych darów natury, była jeszcze wszelka sztuka użytą, aby dodać więcéj blasku urodzie. Cielisto-purpurowy kolor jéj ust okazywał dziwną sprzeczność z błękitną tkanką jéj żyłek; paznokcie u rąk i nóg były zwyczajem tureckim czerwono pofarbowane, a bogate jéj meszty jaśniały od złota, pereł i różnych drogich kamieni.

Tak wystrojona sposobem azyjatyckim, była Baila nadzwyczaj piękną; ubior jéj składał się z kaftanu aksamitnego, z szarawarków muślinowych, złotem i śrebrem wyszywanych, i z szalu kaszmirowego, a mnóstwo nawiészanych u szyi świecideł — sam dobor zbytku wschodniego — dopełniał jéj toalety. Przytém kosztowne przepaski na głowie, szérokie złote naramienniki, łańcuszki, dyjamenty na rękach, wreszcie cała jéj postawa, melancholijne wejrzenie, wszystkoto podwyższało niezwyczajny urok jéj młodocianéj postaci.

Aby lepiéj zrozumieć podziwienie, jakie jéj widok wzbudzał, wyobraźmy sobie ową towarzyszącą jéj starą a czarną niewolnicę, która tak swoim zgrzybiałym wiekiem jakoteż i kolorem, tak swoim niskim, pękatym wzrostem, jakoteż płowém i ponurém wejrzeniem, stawiała uderzającą sprzeczność z jasną bielą Baili, z jéj wysmukłą kibicią, i jéj żywym i przenikliwym wzrokiem — pomimo myśli stroskanych, które ją zajmowały.

Dla uzupełnienia tego obrazu dodajmy jeszcze nad głowami tych dwóch niepodobnych do siebie istot, roskoszne, promienne niebo Azyi, bujną roślinność ziemi, i morze ogrodowych wonnych zapachów, które je wokoło oblewały.

O kilka kroków przed niémi, wznosił

się wodotrysk z cybolińskiego marmuru, gdzie bijący w górę słup wody przyjemną wkoło rzeźwość roztaczał; daléj rosły dwie niebotyczne palmy w prawo i w lewo, i pochylając się wierzchołkami ku sobie, przedstawiały dwie wysokie kolumny, z usklepioną z zielonych liści arkadą: — byłto wchód do tego ustronia, poświęconego spoczynkowi. Od stóp tych palm, ciągnął się po obu bokach płot samorodny z czerwonéj buczyny i dzikich gruszy, przeplatany szafranowém, mirtowém i koralowém kwieciem, tudzież innémi najpiękniejszémi krzewami, które cały ogród mnóstwem strojnych kląbów i altan napełniały. Ale w tém czarującém miejscu nie mógł nawet cień obcego mężczyzny się ukazać. Baila była własnością człowieka zazdrosnego, a jéj sztuką i zalotnością utrzymywana piękność rosła, rozkwitała i przejrzywała bezdzięki pod wzrokiem jednego tylko.

Wkrótce pochyliło się spaniałe słońce Wschodu ku spoczynkowi, i rzucając ostatnie promienie na wysokie palm szczyty, łamiąc się światłem o pstre masy kwiatów i liści, urabiając cudnie mieniącą się, złocistą tęczę w powietrzu, opromieniało całą postać Baili, począwszy od jaśniącego drogiémi kamieńmi czoła, aż do wyszywanych perłami mesztów, mieszało się z ulotną parą kawy, wznoszącą się z porcelanowego kubka i lśniło tysiącem iskier na błyszczącéj skórze tygrysiéj.

A gdy wietrzyk wieczorny wszystkie kwiaty i trawy wzruszył, gdy wszystkie liścia miłośnie ku sobie pochylać się zdawały, gdy wszystkie barwy w mroku z sobą się spływać zaczęły, nie byłoż godném pożałowania, iż żaden obcy wzrok ludzki nie mógł się zachwycać cudami téj rozkosznéj natury ani pięknością téj odaliski, która wpośród wszelkiego czarodziejskiego przepychu, rozpływając się w blasku zdobiących ją dyjamentów, marniała przy wszelkiéj swojéj urodzie i młodości.

Lecz władza natury potężniejsza niż ustawy ludzkie; tak rzadki obraz piękności nie miał pozostać bez człowieka, który w nim swoje szczęście pokładał, ale tym człowiekiem nie był pan tego miejsca.

Stara murzynka, Maryam, usnęła w cieniu drzewa; Baila zatopiona w dumaniu, trzymała machinalnie porcelanowy kubek w ręku — gdy wtém jakiś obcy mężczyzna nagle między dwoma palmami stanął. Na jego niespodziéwany widok mniemała odaliska iż to snem było; lecz wstrzymana bojaźnią a może i ciekawością, pozostała nieruchoma na miejscu, nie wydając najlżejszego wykrzyku — tylko wpółwypróżniony kubek wypadł jéj z ręki.

Cudzoziemiec byłto młody Francuz, który uderzony również niespodziéwanym widokiem piękności Baili, stanął w niemym podziwie, potém postąpił naprzód, spojrzał z zarumienieniem na nią, i czyto urokiem jéj nadzwyczajnych wdzięków zdumiony, czy obecnością śpiącéj w pobliżu murzynki przestraszony, z początku jakieś niezrozumiałe słowa zmieszany wyrzekł, a wkońcu o drogę do miasta spytał. Chociaż to ostatnie pytanie dokładnie, w języku tureckim wyraził, zdawała się zdziwiona Baila wcale go nie rozumiéć. Jakto! Oszukać baczność straży, przebyć podwójne zapory, broniące przystępu do ogrodu, narazić się na niebezpieczeństwo życia, na śmierć pewną i rychłą — i tó wszystko jedynie nato, aby o drogę do miasta spytać??!!

Odzyskawszy po tych przelotnych myślach przytomność, powstała Baila w gniewie, dobyła zza przepaski maleńkiego, w dyjamenty oprawnego sztyletu, podobniejszego raczéj do jakiéj drogiéj zabawki lub błyskotki, niż do zaczepnéj lub téż odpornéj broni, i skinęła nań w znak rozkazu, aby natychmiast odszedł.

Młodzieniec cofnął się mimowolnie z smutnym i ciągle jeszcze zmieszanym wyrazem twarzy, nie spuszczając na chwilę oczu z pięknéj postaci odaliski; zdawało się, jakby nie mógł rozłączyć się z jéj obrazem, który tak wszechwładnie przywiązał jego oczy do siebie; wkońcu wymawiając znowu jakieś niezrozumiałe słowa, oddalił się ku palmom — a wtém nagle murzynka się przebudziła i na widok mężczyzny stojącego opodal, krzyk przerażenia wydała.

»Cóż ci jest, Maryam?» zapytała Baila przystępując do swojéj towarzyszki.

»Ten cień! — czyż pani go nie widziałaś?»

»To bostandżi; któż inny śmiałby stanąć w tem miejscu?»

„Ależ sami bostandżi wystrzegają się tego jak śmierci... Czyliż im pan nie zakazał jaknajsurowiéj, wchodzić do tych ogrodów, podczas gdy my tu w nich jesteśmy?... A przecież wyraźnie cień widziałam...»

„O jakimże cieniu prawisz?» To mówiąc, stanęła Baila przed murzynką, jakby chcąc jéj widok zasłonić.

»Widziałam i widzę jeszcze;» powtórzyła murzynka.

»Cień? może drzewa? takto zapewne będzie.»

„Ależ drzewa nie chodzą, a ten tam, ot! zda się, biegnie.»

„Śni ci się, moja Maryam.»

Baila umiała tak dobrze wmówić w poczciwą starą murzynkę iż nikogo nie było, że ta wkońcu umilkła i uwierzyła, a tymczasem przy nadchodzącym zmroku udały się obiedwie nazad do swoich komnat.

Były właśnie wpół drogi, gdy na skręcie jednéj z licznych ogrodowych alei, murzynka głośno wskrzyknęła, ukazując palcem mężczyznę, starającego pilnie się ukryć.

„Czy mi się i teraz śniło?» zawołała, chcąc oraz krzyczéć o pomoc, gdy odaliska przykładając jéj rękę do ust, milczenie jéj nakazała. Maryam była duszą i ciałem przychylną swojéj pani i nie sprzeciwiała się przeto jéj rozkazowi. Tak znikł nieznajomy bez dalszego śledzenia a Baila wróciła do haremu.

Mocno ją wszakże ta przygoda zniepokoiła. Podobne wypadki zdarzają się rzadko w haremie, a przeto tém mocniéj dziwią umysł młodych niewolnic, gdy się wydarzą. Niewymownie też przejęła się Baila cała tém nieodgadnionem zjawiskiem. Jakiś nieopisany niepokój ogarnął jéj spokojną dotychczas duszę, zaburzył myśli, uniósł niecierpliwością i gniewem. Jakby w najżapalczywszéj niechęci gniotła bogatą materyję swojego stroju, rzucała zachmurzoném okiem, płakała nawet, acz więcéj z niezadowolenia niż istotnéj boleści? Dziśto po raz piérwszy zwątpiła Baila o swéj piękności, dziś stała się zazdrosną, oddziśto dopiéro zaczęła złorzeczyć losowi, na który była skazana, i płakać swojéj młodości.

Dla oddalenia tych dręczących myśli, chciała przenieść się w swoją przeszłość, przypomnieć sobie lata dziecinne, i jeżli nie pociechę, przynajmniéj roztargnienie w téj smutnéj rozrywce znaleźć.

Przeszłość młodéj siedmnastoletniéj dziéwczyny bywa zwykle utraconym rajem złotych pamiątek, jaśniejącym tysiącem miłych rodzinnych wspomnień, a czasem najsłodszém ze wszystkich — wspomnieniem piérwszéj miłości. Ale to wszystko nie było udziałem Baili. Rodzina — była jéj obojętną, a piérwsza jéj miłość — była zaprzedaną.

Urodziła się w Mingrelii z ojca pijaka, a matki chciwéj i łakoméj kobiéty, którzy oboje postrzegając jéj wczesną piękność, poświęcili ją prawie jeszcze w kolébce na ofiarę chuci sułtańskiéj.

Wychowanie młodéj dziéwczyny odpowiadało stanowi do którego ją przeznaczono. Uczyła się tańczyć, śpiewać i grać na arfie; co zaś do reszty, była zupełnie zaniedbaną.

Rodzice Baili wyznawali powierzchownie religiję chrześcijańską, lecz strzegli się wpajać ją swojéj córce. Bo i do czegoż byłoby się jéj to przydało? Religija Chrystusa mogła ją była przejąć wyobrażeniami, sprzeciwiającemi się zawodowi, do którego ją przeznaczyli, a na cóż było jéj nadaremnie drogę do tak wysokiego szczęścia zagradzać?

Stosownie też do tych przyszłych rozkoszy, podczas gdy jéj bracia ciężko w winnicach i przy pasiece pracowali, a jéj siostry matce w gospodarstwie dopomagać musiały, Baila była wolna od wszelkiéj pracy i spędzała młodość w słodkiéj, rozmarzonéj gnuśności.

Dla innych był stół zastawiony potrawami grubémi, dla niéj samémi najdoborniejszémi łakotkami.

Gdy się w podróż wybrano, Baila, w miękkiéj jedwabnéj koszuli, jechała wygodnie na mule, podczas gdy reszta rodziny, w zgrzebne płótno ubrana, szła pieszo przy niéj, czuwając na każde jéj poruszenie. —

Tak doszła Baila lat piętnastu, gdy jednego razu u brzegu rzéki, płynącéj w pobliżu jéj rodzicielskiego domu, zatrzymał się niewielki statek i wysiadł zeń jakiś obcy człowiek w turbanie — byłto liwerant dziéwcząt do haremu sułtana.

„Czy macie miód na sprzedaż?» zapytał stojącego na progu gospodarza.

„Mam biały i czerwony;» odrzekł ojciec Baili.

„Możnaż obaczyć próbkę?»

Mingrelczyk przyniósł natychmiast żądany towar.

„Chciałbym widzieć inne gatunki;» ozwał się człowiek w turbanie, spoglądając z wyrazem porozumienia na ojca.

„Wnijdźcież więc do świetlicy!» odrzekł gospodarz.

Nim jeszcze kupiec miodu wstąpił do środka, Mingrelczyk pobiegł do żony i rzekł jéj:

»Ciesz się, Albere; wesele twojéj córki już bliskie. Jest kupiec w domu. Niech się Baila ubierze, i zejdzie na dół czémprędzéj.»

Na widok Baili nie mógł kupiec od wykrzyku podziwienia się wstrzymać, lecz przez chytrość kupiecką kiwnął oziębłe głową i zaczął z największą uwagą miód oglądać.

Baila spłonęła żywym rumieńcem; rodzice zaś,

pragnąc myśli kupca przeniknąc, udawali pozorną obojętność. a w duszy modlili się gorąco do wszystkich świętych patronów, aby im do uiszczenia dobrego targu pomogli.

Człowiek w turbanie, nie zmieniając postawy, i jakby po nic innego jak tylko po miód tu przyszedł, wziął jedną z próbek na stole w ręce i rzekł:

„Białyto miód, nie ma co mówić, i dość pięknie wygląda. Przystaję nato, choć mu jeszcze smaku brakuje. A po czemuż na wielką miarę?"

„Dwanaście tysięcy;" ozwała się matka z pośpiechem.

„Dwanaście tysięcy parów?"

„Dwanaście tysięcy piastrów."

Kupiec ścisnął ramionami. „Schowaj go więc dla siebie, dobra kobieto, na swój własny użytek."

Poczém powstał chcąc odejść.

Żona skinęła na męża, aby go nie wstrzymował. I jakby też przewidziała, sam kupiec u progu się zatrzymał, i obracając się do gospodarza, przemówił:

„Bracie, dałeś mi spocząć u siebie, a zatém winienem ci w zamian pewnéj wiadomości udzielić. Masz więcéj dzieci?"

„Mam dwie córki."

„Czuwajże dobrze nad niémi, gdyż Lesgowie wypadli niedawno z gór, i uprowadzili mnóstwo dzieci z Gurgelii i Georgii."

»Niech sobie przyjdą;" — odpowiedział Mingrelczyk spokojnie — »mam ja trzech synów i cztéry strzelby."

Kupiec obrócił się znów ku drzwiom, jakby miał już odejść, a potém niby się nieco namyślił, i powiódłszy wzrokiem po Baili, wzniósł prawą rękę, trzymając wszystkie pięć palców w górę.

Baila zarumieniła się ze wstydu, spojrzała z pogardą na kupca i przybrała postawę obrażonéj królowéj.

Przez wzgląd na wzrok i postawę Baili wzniósł kupiec jeszcze jeden palec u lewéj ręki, w górę.

Mingrelczyk wzniósł wszystkie dziesięć palców.

„To za wiele;" rzekł pocichu człowiek w turbanie, a potém dodał głośniéj: »Drogi miód u was; mimo najlepszéj chęci trzeba go będzie kupić u Lesgów. Bywajcie zdrowi."

»Można nie kupić i nie przedać," — rzekł ojciec — »a przeto nie potrzebujecie jeszcze zaraz odchodzić. Wszak musicie być utrudzeni od wiosła."

„Jeżeli pozwalacie," — ozwał się kupiec — „zaczekam, aż póki słońce cokolwiek się nie zniży."

„I nie możnaż was niczém inném prócz cieniem poczęstować? Wiém ja, że syn proroka nie jada i nie pija pod chrześcijańską strzechą, ale możebyście na jaką godziwą rozrywkę zezwolili, a ponieważ moja córka jest jeszcze tutaj, więc wam dla rozweselenia zaśpiewa."

Zaczém wzięła Baila arfę, i zaczęła śpiewać i grać do pieśni.

Człowiek w turbanie usiadł u nóg Baili, i z pochyloną w dół głową, z założonémi rękoma, przysłuchywał się z głęboką uwagą i zadumą, a po skończonym śpiewie wstał z widocznem zadowoleniem i podniósł jeszcze o jeden palec więcéj.

Tymczasem uderzyła Baila weseléj w struny arfy i rozpoczęła na wzór bajaderek indyjskich rozkoszny, ponętny taniec.

Człowiek w turbanie wypatrzył się chciwie w piękną mingrelską dziewicę, i nie mogąc oderwać z niéj oczu, podniósł w coraz żywszym zapale, naraz dwa palce w górę.

Ten niemy wyraz sprowadził niejako porozumienie pomiędzy obudwoma stronami.

Zresztą nie miała ta tajemnicza mowa w przenośniach, to podwyższanie ceny na migi, innego celu w tym handlu, jak tylko zabezpieczyć się przed zwierzchnością rossyjską, która Mingrelczykom surowo podobnego kupczenia zabraniała, a przed którą w razie potrzeby można było nawet zaprzysiądz, iż nikt i wzmianki o żadnym innym targu prócz kupna miodu, futer i bobrowych skór nie uczynił.

Po niemałém jeszcze targowaniu się z jednéj i z drugiéj strony, stanęło wreszcie na 10ciu tysiącach piastrów, które matka łakomo zagarnąwszy, wybiegła natychmiast z świetlicy, aby swój skarb w jakim tajnym zakątku ukryć, nie troszcząc się bynajmniéj, czy jeszcze kiedy w życiu córkę swoje obaczy.

Baila jęła się w podróż wybierać. Tymczasem spojrzał kupiec na starszą siostrę, która ciasto w dzieży miesiła.

»A tażby nie poszła także ze mną?"

Starsza siostra pokłoniła się nisko na tak pochlebne dla siebie zapytanie.

„Ona kulawa;" odrzekł ojciec.

„To nic nie szkodzi;" — dodał kupiec — „obaczymy."

I wszczęły się nowe oględziny i układy. Mingrelczyk chciał korzystać z nieobecności żony i sprzedał drugą córkę daleko taniéj, przestając na sześciu strzelbach angielskich, znacznéj ilości prochu i śrótu, na kilkudziesięciu funtach wędzonego mięsa i dwóch baryłkach araku; — a będąc już raz w toku tak korzystnego handlu, byłby chętnie — za tanie nawet pieniądze — sprzedał jeszcze i żonę, wyglądającą wcale nieszpetnie, gdyby na nieszczęście bojaźń surowéj kary rossyjskiéj nie była go od dalszego wykonywania swojéj domowéj władzy wstrzymała.

Wkońcu podali sobie obaj zacni mężowie ręce w znak ostatecznego dobicia targu, gdy wtém matka wróciła. Na wiadomość nowego handlu wskrzyknęła przeraźliwym głosem, narzekając, iż teraz wszelkie starania około gospodarstwa na nią je-

dnę spadną. Na pocieszenie jéj w tém zmartwieniu darował jéj kupiec naszyjnik z fałszywych kamieni, i zupełnie ją tém ukoił.

Nazajutrz przybyły obiedwie siostry do małego portu nad morzem czarném, zkąd natychmiast do Trebizondy odpłynęły.

W miesiąc zdjęła naszego kupca ochota ożenienia się samemu. On, co tak wiele kobiet innym dostarczył, nie zważał tyle na marne wdzięki ile na inne rzeczywistsze zalety, a bywszy świadkiem jak wybornie starsza siostra Baili chléb rozczyniać umiała, pojął ją za małżonkę, chociaż była kulawa.

Takie były rodzinne wspomnienia, sceny porannych lat odaliski.

Nie znalazłszy więc w nich upragnionéj pociechy sercu, zwróciła pamięć i myśli ku innéj porze swojego życia, w któréj miłość powinna była główną odegrać rolę.

Ujrzała się tedy w Trebizondzie w domu swojego pierwszego kupca, który został jéj szwagrem. Tam otoczona równie jak i wszystkie do dalszego handlu przeznaczone towarzyszki, wszelkiémi staraniami i wygodami, przepędziła rok jeden, w którymto czasie wyuczyła się języka tureckiego, wydoskonaliła się w śpiewie i w tańcu, a przedewszystkiém pobiérała naukę w odrębnéj na Wschodzie swojego stanu umiejętności — w sztuce zalotnego przypodobania się i wesołego służenia swojemu panu.

Po upłynionym roku wsiadł szwagier Baili, z nią i z wielą innémi jéj towarzyszkami na okręt i popłynął do Stambułu.

Przybywszy do stolicy sułtańskiéj umieścił swoje niewolnice w jednéj z sal wielkiego niewieściego bazaru, gdzie każda na sprzedaż wystawiona dziewica, siedząc na odosobnionéni podwyższeniu, ubrana z największą wytwornością, zazwyczaj w bieli, z umaszczonémi przeróżném pachnidłem włosy, mogła być dowoli przez targujących oglądaną. Wszystkie one były chciwe podbicia sobie serca jakiego możnego dygnitarza, i przybierały przeto najkorzystniejszą dla okazania swoich wdzięków postawę, uzbrajały się wszelkiémi swojéj płci ponętami, które stosownie do oglądającego je kupca natężać albo umniejszać miały, i patrzyły w oczekiwaniu na gości przechadzających się przed otwartémi drzwiami do sali. Jednym z pierwszych wszedł mały garbaty starzec, w lichym, obdartym turbanie, w równie nieozdobnéj sukni, prześlizgujący się raczéj, niż stąpający śmiało pomiędzy ludźmi.

Byłto Ormianin-renegat, który będąc khasnadarem czyli skarbnikiem wezyra, zebrał wszelkiémi godziwémi i niegodziwémi środkami ogromne skarby, a teraz, pozbywszy się zarazem i żony, która umarła, i pana, który wpadł w niełaskę u cesarza, postanowił użyć swobodnie nagromadzonego majątku, zadawalniając wszelkie podniety rozkoszy, wszelkie popędy nieuspionéj jeszcze żądzy miłośnéj.

Na jego widok przejęły się wszystkie dziewice niewymowną zgrozą i wstrętem. Każda marzyła tylko o jakimś pięknym, młodym, spaniałym panu o szérokiém, wyniosłém czole, majestatycznéj postawie, czarnéj połysnéj brodzie, słowem, o samych darach natury, których nasz mały, niepokaźny khasnadar nigdy w życiu nie zdawał się posiadać.

Wskutek tak niepomyślnego wrażenia, jakie stary Ormianin na niewolnicach sprawił, starała się każda zamiast wabnego, zalotnego uśmiéchu, przybrać jaknajkwaśniejszą minę i najniezgrabniejszą postawę, aby tylko uwagi brzydkiego starca na się nie zwrócić, a gdy on w przechodzie przed Bailą się zatrzymał, zadrżała biédna piękna Mingrelka i uczuła gwałtowną chęć do płaczu. Pomimo to jednak musiała powstać z miejsca, i przejść się zwolna po sali, a chociaż umyślnie ile możności niekształtną się udawała, zachwyciła przecież nieboga starego khasnadara. Zacierając z zadowoleniem ręce, przystąpił czupurnie do niéj, obejrzał jéj ręce, nogi, a nawet zęby, a potém odprowadziwszy kupca na ustęp —

„Jaka cena?" zapytał.

„Dwadzieścia tysięcy piastrów."

Khasnadar cofnął się przerażony, i skrzywiwszy się jak po zgryzieniu robaka w nadkąszonym owocu, zaczął niechętnie po sali się przechadzać. Za chwilę zbliżył się znów do Mingrelki, która lękając się aby jéj drugi raz podobnież oglądać nie chciał, wystawiła mu język w gniewie i całą twarz wydrzeźniła. Lecz to nie ustudziło bynajmniéj zapału rozochoconego Ormianina; stał on się owszem jeszcze uporczywszym w swoim zamiarze nabycia Baili, i ponowił targi o nią z jéj szwagrem.

„Na archanioła Gabryjela!" zaprzysiągł się kupiec, „nie mogę zniżyć ceny. Przyrzekłem mojéj żonie, która jest jéj rodzoną siostrą, nie odstąpić jéj niżéj 20stu tysięcy piastrów — dla honoru rodziny."

Baila, na którą znowuż zasłonę włożono, rozumiała, iż kupno już ukończone, i nie mogła utulić się od płaczu.

Wtém rozwarły się gwałtownie podwoje sali, wszedł śpieszno jakiś słuszny, śmiałego wzroku mężczyzna, przystąpił wprost do Baili, zdjął jéj zasłonę z twarzy, i zapytał:

„Ile za nią?"

„Ona już moja;" przejął khasnadar.

„Ile?" powtórzył nieznajomy.

„Ależ jam ją już kupił — i nie sprzedaję jéj!" odpowiedział mały starzec, podnosząc się na palcach, dla dodania sobie groźniejszéj miny.

Zuchwały nieznajomy zmierzył go od stóp do głowy pełném wzgardy spojrzeniem. —

„Biorę ją za 19 tysięcy;" pośpieszył wyrzec khasnadar.

„Ja daję za nią 25 tysięcy!" zawołał nowy przybysz i zarzucił natychmiast zasłonę na nią.

Szwagier Baili przystał chętnie na to niespodziane podwyższenie ceny, khasnadar zaś pobladł od gniewu, lecz lękał go się okazać, gdyż w swoim szczęśliwym spółzawodniku poznał Ali-ben-Alego, zwanego Djazzar, baszę prowincyi Sivas.

W taki więc sposób młoda dziewica z Mingrelii, sprzedana najprzód przez ojca, została po raz drugi sprzedana przez swego szwagra.

Djazzar-basza, którego małoznaczne sprawy do stolicy państwa ottomańskiego powołały, wybrał się zaraz dnia następnego nazad do swojéj siedziby, uwożąc z sobą piękną Bailę, która wkrótce pierwsze miejsce w jego sercu zajęła.

Ale nowe szczęście Mingrelki nie polegało jedynie na uczuciu dumy z jéj wywyższenia nad resztę towarzyszek i rywalek — Baila kochała rzeczywiście Djazzara.

Nie był on wprawdzie w pierwszym kwiecie młodości, a surowy połysk jego wzroku był raczéj zdolnym wzbudzić trwogę niż miłość, lecz porównanie jakie Baila w owéj chwili obawy popadnięcia w ręce starego khasnadara, między baszą Djazzarem a brzydkim Ormianinem zrobiła, działało tak mocno na jéj młodzieńczą wyobraźnię, iż go sobie odtąd zawsze młodym i pięknym wystawiała. Przytém okazywał się dla niéj nieustannie spaniałomyślnym i przychylnym, skłaniał się tak ulegle do wszelkich jéj próśb i żądań, był raczéj czułym kochankiem niż groźnym, rozkazującym panem, iż nie zważała na wieści o jego surowości i okrucieństwie, nad tém jedynie myśląc, jakby sobie niezachwiane panowanie nad nim zapewnić. Gdyż lubo Baila była pierwszą w sercu Djazzara, nie była ona tam przecież jedyną panią. Djazzar zaś nie słynął z nadzwyczajnéj wierności. W téj nawet chwili upodobał sobie jakąś niewolnicę z Amassyi, przybyłą świeżo do jego haremu, a przybyłą z okolicy, któréj kobiéty za najpiękniejsze w całéj Turcyi uchodzą. Któż wié, czy berło piękności, posiadane obecnie przez Bailę, nie przejdzie wnet w inne ręce? ażali druga nie zdoła jeszcze gwałtowniejszego uczucia w sercu Djazzar-baszy obudzić?

Te-to smutne myśli zasępiły czoło pięknej odaliski w chwili, gdy przechadzając się ze starą murzynką po ogrodzie, spojrzała zazdrosnym wzrokiem przez gąszcz jaworów na budynek, z wyzłacanémi kratami, za któremi jéj nowa rywalka zamieszkała.

Obraz całego życia, który teraz z opisanémi przez nas scenami, przesunął się w pamięci przed jéj duszą, nie wskazywałże jéj wyraźnie, iż jéj piękność powinna być niezrównaną? — iż wszyscy, którzy ją tylko ujrzeli, dobijali się uporczywie o jéj nabycie? — że więc i Djazzar, jak dotąd dla niéj tylko łagodnym się okazał, tak też i nadal ją jedynie za swoję pierwszą kochankę, panią całego haremu uważać winien?

Lecz zarówno prawie zajmowało ją zjawienie się nieznajomego Francuza, który dla jéj ujrzenia z niebezpieczeństwem życia obronny przystęp do pałacu Djazzara przebył — a tak nieśmiałym w jéj obecności się wydał. Ale przed Djazzarem — marzyła sobie Baila — byłby on zapewne nie tak lękliwym się okazał. Jéjto wdzięki jedynie sprawiły na nim takie wrażenie. Widział ją zapewne gdzieś dawniéj jeszcze, i teraz koniecznie, mimo śmierć zagrażającą, zbliżyć się do niéj pragnie. Tak bowiem wszyscy Francuzi kochają. A nawet sam ów najsławniejszy pomiędzy nimi, Napoleon, ich wielki sułtan, czyż nie na to tylko na czele wielkiéj armii na podbicie Egiptu wyruszył, aby tam najpiękniejszą kobiétę znaleźć, którą Bóg przez sen mu objawił? *) Zapewnewięc i on też miał podobne objawienie i pragnie przypatrzyć się jéj z bliska. Bądź co bądź, należy się zapewnić o jego bezpieczeństwie...

Basza Djazzar podzielał tymczasem swoję miłość zarówno między piękną Amassyjankę i Mingrelkę.

Baila marzyła dniem i nocą o odważnym Francuzie.

I cóż ją tak mocno do niego przywiązało? Byłaż to miłość? Nie. Skromny jego ubiór i potulne wejrzenie nie były zdolne zachwycić dziewicę haremową. Czuła tylko jakąś wdzięczność dla niego. — Zresztą być może, iż myśląc o nim, chciała się zemścić na Djazzarze za jego nową ulubienicę z Amassyi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* **T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 36ty i zawiera:** 1) Posypywanie oborniku siarczanem wapna (gipsem) jeźli pożyteczne? 2) O chowie szlachetnych ras zwiérząt gospodarskich. K. J. Turowski napisał. 3) O przerabianiu wódki na koniak, rum i arak. 4) O przesadzaniu starych i młodych drzew. 5) Lekarstwo na wodnicę i zgniliznę wątroby u owiec. 6) Wiadomości handlowe.

Dziennika mód paryskich pod redakcyją **Tomasza Kulczyckiego**, wyszedł nr. 19ty i zawiéra, prócz mód, następujące artykuły: 1) Niektóre uwagi nad aforyzmami Bronisława Trentowskiego pod tytułem: Kobiéta, przez T. S......ską. 2) Marcin Chuzzlewit, kilka rysów Ameryki i jéj mieszkańców. Ciąg dalszy. 3) Najnowsza powieść J. I. Kraszewskiego p. t. »Żacy Krakowscy r. 1549.«

† Jan Kruszyński, były członek Towarzystwa przyjaciół nauk, tudzież dyrekcyi rządowéj teatrów w król. polskiém, znany jako wzorowy tłumacz arcydzieł klasycznych: *Atalia*, *Brytanik*, *Edyp*, niemniéj różnych sztuk włoskich, Alfierego, a mianowicie sła-

*) Takie podanie panuje istotnie dotąd jeszcze pomiędzy ludem w Arabii, w Egipcie i w Turcyi.

wnéj w swoim czasie »*Opery włoskiej w podróży*«, wreszcie autor wielu prac oryginalnych, głęboki znawca wszystkich prawie języków europejskich, i jeden z najuczeńszych dawniejszych literatów polskich, umarł dnia 29go sierpnia w 72gim roku życia w Warszawie.

Świat mikroskopijny. Zdaje się prawie jakby dłuższe lub krótsze trwanie czasu z większą lub mniejszą rozległością przestrzeni, w pewnym równym stosunku zostawało. Mikroskopijne żyjątka, których tysiące w jednéj kropli wody się znajdują, żyją tak krótko — bo czasem tylko minuty, godziny, najwięcéj dobę— jak drobne jest ich ciało. Ogromny zaś wieloryb potrzebuje wieków do zupełnego wykształcenia się, a Cuvier wnosił z pewnego olbrzymiego wielorybiego kościotrupa na przynajmniéj tysiąc lat jego wieku. Coś podobnego postrzegamy także w mikroskopijnym świecie roślinnym. Pleśń — jestto maleńki las roślinny. Nie rozwija on się nigdzie tak prędko jak na wódce, która źwierzęcemi żywiołami jest przesycona. Na wodzie wyrasta pleśń w siedmiu godzinach w zupełne dojrzenie swego nasienia. Przez dwie godziny zostaje ona w tym stanie dojrzałego kwiecia, potém więdnie, roni nasienie, i rozpładza się nanowo. Dutrochet mniema, iż pleśń jest tylko rozwijaniem się wszędzie rozsianego nasienia, które w całéj atmosferze się znajduje, a może także i w źwierzęcym jakoteż roślinnym płynie jest zawarte. Przypuściwszy iż pleśń koniecznie tylko za pomocą nasienia się rozpładza, należy téż w istocie podobnąż wszędyobecność tego pleśniowego nasienia przyjąć, skoro na każdém miejscu, gdzie wprzódy ani śladu pleśni nie dostrzegano, za zbliżeniem odpowiedniego ciała, pleśń się rozwija. Tożsamo tycze się także prędkiego rozwinięcia się grzybów, jako bowiem Ruel okazał, dzieje się, iż obrawszy pień topoli przy samém korzeniu z kory, i zwilżywszy go rozpuszczonem kwaśném ciastem, w kilku godzinach bedły tam porastają.

Festyny ludu w Wenecyi. Najsławniejsze z tych są: publiczna loteryja na placu św. Marka, zwana *Tombola*, i wielkie wyścigi gondolierów weneckich, czyli tak zwana *Regata*. Obie te zabawy publiczne odbywają się w lecie, w miesiącu czerwcu. O tegorocznéj regacie pisze jeden z podróżnych świadków do przyjaciela: »Jakże ci tu wyrażę, cośmy na widok téj szalonéj włoskiéj zabawy i uciechy uczuli! Krzyczeliśmy jak dzieci, śmieliśmy się, płakali, słowem przechodziliśmy całą skalę uczuć, patrząc na ten zgiełk kroci namiętnéj południowéj ludności, i będąc tymsamym roskosznym szałem co i ona też uniesieni. Obecnie znajduje się przeszło 50.000 cudzoziemców w Wenecyi, którzy umyślnie dla przypatrzenia się tym festynom ludu tutaj zjechali. Możesz sobie tedy wystawić, jak tu teraz rojno, tłumnie, wesoło! Dla mnie, mieszkańca ponuréj, cichéj północy, jest ten gwar, krzyk, wrzask, ścisk — nieznośny. 10—15.000 gondół, łodzi, czółen na morzu! A każde inaczéj, fantastycznie ustrojone, podług wzorów o których ani wyobrażenia nie masz. Nasze szlichtady i kuliki sąto, w porównaniu z temi weneckiemi zabawami, drobniusieńkie przedstawienia na scenie. Widzieliśmy tu kostiumy, których samo wspomnienie głowę nam jeszcze zawraca. Wszystko co chcesz, wszelkie narody świata, wszelkie charaktery ludzkości były tu najrozliczniéj reprezentowane. Dwadzieścia dyrekcyj teatralnych mogłyby długie lata o téj garderobie egzystować. Jeden nobile lub patrycyjusz sadzi się nad drugiego. Nareszcie przyszła koléj na wyścigi na *Canal grande*. Wystaw sobie jaknajszerszą ulicę; po lewéj i po prawéj pałace; jeden pałac pyszniejszy, wznioślejszy od drugiego, a środkiem płynie morze. Ulica ta ma przynajmniéj milę; wzdłuż obojéj połaci, we wszystkich oknach, na każdym dachu — same głowy i głowy i rozkoszą parające spojrzenia; wszędzie uniesienie radości; każde okno ozdobione kosztownemi kobiercy, aksamitem, haftami i lasami chorągwi i chorągiewek. Teraz nadlatują gondole! Kto nie widział wyścigujących się włoskich gondolierów, nie widział żadnych wyścigów. Gondoliery każdego okręgu w odmienny kolor ubrane. Najszybszym towarzyszyły wzdłuż całego kanału zagłuszające oklaski i pochwały; na drugich, nie zbyt daleko za pierwszymi, krzyczano, aby się z poprzednimi zrównali; ależ biada ostatnim! Za nic w świecie nie chciałbym być w jednéj z ostatnich łodzi. Téj piekielnéj wrzawy gwizdań, śmiechów, szyderstw a nawet przekleństw, żaden z śmiertelnych, kto na weneckiéj regacie nie był, wystawić sobie nie zdoła. Czemuż nie jestem poetą, aby to świetnie opisać! Nie będąc zaś poetą, osłupiałem tylko z podziwu.«

Angielska sprawiedliwość. Jest bardzo wiele ludzi, którzy oburzeni barbarzyńskiemi zabytkami średnich wieków, pojawiającemi się niestety tak często jeszcze w naszych czasach oświaty, a mianowicie, w ustawodawstwie angielskiém, co chwila wykrzykują: »Patrzcie, oto owa sławiona wolność angielska!« — Ci, co tak mówią, sąto zaiste bardzo ograniczeni ludzie! Tak jest, przypuszczamy, iż w żadnym despotycznie rządzonym kraju sprawiedliwość tyle niesprawiedliwych względów dla bogactwa i bogaczów nie okazuje jak w Anglii — lecz główną tu rzeczą jest, iż nawet mimo te uchybienia, wolność przecież tyle wielkich rzeczy dokazać może, ile ich w Anglii widzimy. Zaczém bezsprzecznie idzie, iż prędzéj czy późniéj wszystkie te nadużycia przed wszechwładną siłą wolności znikną, skoro Anglija zupełnie z więzów średniowiekowości się otrzęsie. Nim jednak to nastąpi, należy wszelkiemi siłami na owe niesłychane zdrożności nastawać, jakich stronnicza sprawiedliwość angielska się dopuszcza. — Jeden z korespondentów londyńskich opowiada: »Przed kilką tygodniami, przeglądając dzienniki w kawiarni, wyczytałem iż dwaj dziewięcioletni chłopcy, dwa małe bochenki chleba ukradli. Obaj zostali na 7 lat deportacyi skazani. Nie dowierzałem własnym oczom. Odczytałem powtórnie doniesienie, i nie mogłem jeszcze ani sobie, ani doniesieniu, ani gazecie wierzyć. Podałem więc dziennik moim sąsiadom, pytając czy dobrze zrozumiałem. Zrozumiałem ja dobrze niestety, lecz ci ludzie nie podzielali bynajmniéj mojego oburzenia. »Musiały to być zepsute chłopcy;« odpowiedzieli spokojnie, uważając tę rzecz za najsłuszniejszą w świecie. — Nie tyle już zdziwiło mię, iż innego chłopca deportowano, ponieważ oderwał był mosiężną kołataczkę u drzwi pewnego domu, ale tem dziwniejszém wydało mi się porównanie tegoż samego wyroku z innym, który w kilka tygodni późniéj wydano. Jakiś rozpustny *gentleman* oderwał był w nocy kołataczki u dwóch kamienic. Sędzia nie uznał to kradzieżą lecz uszkodzeniem, i skazał majętnego panicza na karę 5 funtów szterlingów. Drwiący z wyroku winowajca rzucił banknot 10 funtów szterl. Na wezwanie woźnego, aby wymienił swój adres, w celu zwrócenia mu reszty z 10 funtów — »Czyż nie wolisz,« — zapytał — »abym ci żadnego adresu nie dawał? Schowaj resztę dla siebie.«— Tak, nie masz w Anglii najmniejszego odznaczenia granicy dla dowolności sędziego, który jedynie podług

swego upodobania rozstrzyga. Dzieje się to nawet w sprawach o mord i zabójstwo. Dodziśdnia żyje w Londynie wolno i bezkarnie człowiek, który własnemu, w nieprawnem małżeństwie spłodzonemu dziecku, dziewięcioletniej dziewczynce, głowę oderznał, oświadczywszy wprzódy wyraźnie, iż to niezawodnie uczyni, skoro tylko to dziecko w jego mieszkaniu się pokaże. Dla uratowania zbrodniarza położono fałszywe imię w akcie oskarżenia, i unieważniono całą sprawę na zasadzie okoliczności: iż oskarżony nigdy dziecka tegoż imienia nie zamordował.— Wypadek ten sprawił rzeczywiście w swoim czasie niejakie wrażenie, lecz niestety, nic więcej nad wrażenie!

Mucha. Michał Ogiński, hetman w. lit. miał w swoim pięknym pałacu w Słonimie doborną galeryję obrazów, i będąc doskonałym znawcą malarstwa, sam także nie bez rzeczywistego talentu w téj sztuce się probował. Jednego razu wykończył duży obraz przedstawiający okolicę Słonima, a w górze, na otwartém tle nieba, odmalował umyślnie *muchę*. Wkrótce jakoś po zawieszeniu malowidła w swym gabinecie, pisząc właśnie przy biórku, słyszy mocne uderzenie w obraz. »Cóż to ma znaczyć?« zapytuje surowo dworzanina, znajdującego się w pokoju. Dworzanin nie śmié z początku odpowiedzieć, lecz na powtórne, surowsze jeszcze wezwanie — »Przebacz, jwpanie.« — rzecze — »postrzegłem muchę na obrazie, a lękając się aby nie splamiła malowidła, chciałem ją spędzić, gdy zaś nie ruszała się z miejsca, uderzyłem w obraz, aby ją spłoszyć. Przebacz więc jwpanie.« — Hetman ucieszył się niezmiernie tém zdarzeniem, bo jako autor tegoż malowidła, przekonał się, iż jego mucha musi być doskonałém naśladowaniem natury, gdy takie wrażenie na młodzieńcu sprawiła — i dał mu zato 1000 czerw. zł. W kilka dni potém przychodzi tenże dworzanin do hetmana i wyznaje, iż czuje wyrzuty sumienia, gdyż wiedział że ta mucha była malowana i chciał tylko przyjemną niespodziankę dobremu panu zrobić — ale być zato zapłaconym, nie zdało mu się zgadzać się z uczciwością. Usłyszawszy to hetman, pochwalił go szczerze i darował mu drugich 1000 czerw. zł. dla jego matki.

Pellagra. Od niejakiego czasu rozszérzyła się wymieniona tu choroba w południowéj Francyi i w niektórych częściach Paryża. Głównem jéj siedliskiem są północne Włochy, gdzie mianowicie na wiosnę, ubogie pospólstwo miejskie, przedewszystkiém zaś ludność rolnicza, ofiarą téj choroby się stają. Pellagra, także inaczéj *mala rosa* nazwana, jestto rodzaj liszaju, który okazując się najpowszechniej na odsłonionych, ku światłu wystawionych częściach ciała, jakoto na twarzy, na karku, na piersiach i nogach, a najbardziej na odwrotnéj stronie dłoni, nieznacznie tam nabrzmiewa i zaczerwienia się, a po kilku miesiącach, w lecie, zostawiwszy tylko niejakie plamy na ciele, przy złuszczeniu się skóry, zupełnie znika. Następnéj jednak wiosny wraca ten liszaj znowuż, i powtarzając się od roku do roku, zostawia coraz grubsze łuski, naroście, wrzody, aż w końcu śród rozmaitych cierpień nerwowych i przypadłości psychicznych, po latach, w sparaliżowanie członków, w suchoty, wodną puchlinę i t. p. choroby się przemienia i śmierć sprowadza. — Z Włoch północnych przeniosła się teraz taż słabość do południowych stron Francyi i szérzy się tam podług statystycznych doniesień w nader zastraszający sposób. Nawet w kilku szpitalach paryzkich już się pojawiła, a lekarze paryzcy wiodą w lekarskich pismach czasowych zacięte, tragi-komiczne spory o zaszczyt: kto najpierwszy symptomatów pellagry dostrzegł. Zbawienniejsząby rzeczą było, gdyby się o sposób jéj leczenia, o wynalezienie przyczyny jéj nadzwyczajnego rozszérzania się, sprzeczano — lecz o tém nie było dotąd mowy — a choroba swobodnie się rozprzestrzenia.

Magnetyzowanie stało się we Francyi tak dalece przedmiotem zwodzenia łatwowiernych, iż jest teraz osobny rodzaj oszustwa, *vols à la somnambule* nazywany. — Pewien mieszczanin zpod Paryża, którego kilkokrotnie, zawsze jednak bez zostawienia najmniejszéj poszlaki okradywano, usłyszał od sąsiady, iż piérwsza lepsza jasnowidząca w Paryżu niezawodnie złodziejaby mu odkryła. Udaje się więc do Paryża, a w drodze zabiera znajomość z pewnym jegomością, będącym, jak się z rozmowy okazało, najbliższym przyjacielem lekarza, którego naszemu mieszczaninowi polecono. Słysząc to, ofiaruje się nieznajomy zaprowadzić swojego towarzysza do przyjaciela, na co nasz zacny obywatel z Fontainebleau jaknajchętniéj zezwala. Umawiają się względem czasu i miejsca schadzki w Paryżu, a tymczasem wjechawszy już do miasta, żegnają się: do zobaczenia. Wieczorem idzie mieszczanin do pewnéj wyznaczonéj kawiarni, i zastaje tam swego towarzysza podróży, który go podług umowy do przyjaciela prowadzi. Przybywają do wcale przyzwoitego domu, gdzie nieznajomy mieszczanina lekarzowi i jasnowidzącéj przedstawia, a potém zaraz odchodzi, przyrzekając przyjść w wieczór. Po jego odejściu siada jasnowidząca w duże poręczowe krzesło i zaczyna usypiać. Na zadane sobie zapytania odpowiada dokładném opisaniem domu mieszczanina i jak go kilkokrotnie okradano. Zacny obywatel z Fontainebleau nie posiada się z podziwienia. »Któż są złodzieje?« pyta magnetyzujący. »Postrzegłam ich wprawdzie,« — odpowiada jasnowidząca — »lecz oto ich już nie widzę.... Nie, znów ich widzę.... Ale znikają. Ach, gorąco!.... Powietrza! Powietrza!« — »Szkoda,« — ozwał się lekarz — »lecz niepodobna zostawić ją w tym stanie; muszę ją zbudzić. Późniéj nieco ponowimy nasze badanie. Tymczasem zostań pan wraz z nami na wieczerzy.« — Po niejakiém wahaniu przystaje nasz uszczęśliwiony mieszczanin. Wszyscy mają najlepszy apetyt; przewyborna wieczerza przeciąga się do późna. Wkońcu chce nasz mieszczanin odejść, lecz magnetyzer oświadcza, iż należy czuwać przy jasnowidzącéj, która wkrótce nanowo w sen zapadnie. Czuwają więc i czekają, aż wreszcie, prędzéj niż jasnowidząca, sam obywatel z Fontainebleau smacznym i bynajmniéj nie magnetycznym, lecz tak spokojnym i zdrowym snem zasypia, że się aż nazajutrz rano z niego przebudza. Zbudziwszy się ogląda się wokoło — nie ma nikogo; dzwoni z niecierpliwością — wchodzi pokojówka z karteczką; pyta, co to za kartka? — ona mu odpowiada: »Rachunek.« — »Jaki rachunek? — »Za wieczerzę, i najem pokojów.« — »Gdzież jestem?« — »W *hôtel garni*, gdzie wczoraj na imię pana C... z Fontainebleau wieczerzę i trzy pokoje najęto. Czyż wpan nie jesteś pan C...?« — »Jestem ten sam, lecz gdzież są moi towarzysze?« — »Wyszli koło północy.« — Trzeba było zapłacić. Ale co gorsza — przybywszy nazad do domu, zastaje mieszkanie wypróżnione, biórko rozbite, wszystko, co lepszego, skradzione. — Cała ta zagadka nie trudna do rozwiązania.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.